

168

1. Reminiscence



Prasowe  
Wydawnictwo  
Dokumentacyjne  
RSW „P-K-R”

Warszawa  
Pl. Starynkiewicza 7  
Tel. 28-59-59

NOWINY

ul. Marchlewskiego Nr 19  
35-958 Rzeszów

wydanie

Nr 259 z dn. 30-10-84

**W** DNIACH od 19 do 27 maja 1945 roku odbyły się w Rzeszowie jakby pierwsze rzeszowskie spotkania teatralne: Ogłoszono bowiem te dni Tygodniem Teatru. Zainaugurował ów Tydzień „Koncert słowa, pieśni i muzyki”, który stał się ogromnym sukcesem Wandy Siemaszkowej. Miała wówczas 78 lat, przyjeżdżała między innymi „lan Szopena” na dziewięć, granego przez Ninę, m popłynęła rzeka po Siemaszkowa była nie- em nierównana w jej raziadio śpiewała liry- lski repertuar i frag- operowych, a profesor z Rzeszowie, Felician npaniował na skrzyp-

dziewiętej rano w ko- ów odbyła się msza, koncertem utworów re- iu Orkiestry Symfoni- Rzeszowskiej (!), a wie- rbe ryby” i operetkę w ó na Marsie”.

maja — komedię Nie- iabel nie może”. ja — operetkę „Tylko ja, odbyła się premiera gdzie Wacławem był z. Papkinem — Kazi- a — Zofia Gorczyńska. Zemstę” Stefania Gin- o ja już do końca Ty- do niedzieli, 24 maja. „Zemstę” miała miejsce iemaszkowej na „Kon- a ja, oceniała aktorów, o raz pierwszy w przy-

szłym swoim teatrze, zaledwie dekada upły- nęła od zakończenia wojny. Wspomina ten cz wieloletnia aktorka Teatru im. W. Sie- maszkowej:

ZOFIA GORCZYŃSKA  
— Kiedy przyjechalismy z mężem ze Lwowa, Rzeszów był jedyną enklawą wolno-

ści, otoczony wokół frontem, przeto napeł- ło się tu ludzi z różnych stron Polski i ci- snota osaczała nas zewsząd. A Rzeszów o- była wówczas praktycznie jedna ulica, ulica 3 Maja, potem jakieś małe domki, pola, i- to i daleko, daleko zabudowania WSK...

Zagrałam w „Gdzie diabeł nie może”, b- dał po raz pierwszy. Dostaliśmy z mężem garsonierę na Narutowicza i to był luksus, bo aktorzy mieszkali kątem u ludzi na kva- terach, nikt nie miał mieszkania, ani żadnej rzeczy, która by jego była. W sklepach by- ła musztarda i zapalki. Po chleb chodźło się o trzeciej rano do kolejki. Nie było wa- gla. Nie było światła. Teatr grywał często pr- świecach i były to piękne, niezapom- niane przedstawienia, z ciasno wypełnioną widownią.

Wojewoda Tkaczow — nasz najbliższy przyjaciel — robił dla teatru wszystko, co mógł. Ponieważ wiedział, że najpierw mu- simy jeść, więc zorganizował nam stołówkę, gdzie trzy razy dziennie jadaliśmy pęczak, w najroźniejszych postaci, bo kucharka była mistrzynią w swoim zawodzie i też robiła co mogła.

Nigdy w życiu już potem nie wzięłam pę- czaku do ust.

Dyrektora Bogdana Proskurnickiego, k- ury założył ten teatr, rozpierała energia — wymyślał rzeczy niemożliwe, docierał wszę- dzie, gromadził każde najdziwniejsze dobro dla teatru, bo wszystko mogło się przydać. Przyrastał więc rekwizyt, czasem zarekwi- rowany, najczęściej podarowany hojną ręką.

Kiedy spadała z nóg jedyna para butów, jaką miałam i trzeba było zanieść ją do szewca, szło się wtedy do rekwizytorni i na ten czas pożyczano buty teatralne.

A przecież byliśmy szczśliwi, wolni, u- skrzydleni sztuką i gotowi na wszystko.

Gdy Antoni Graziadio — dyrektor admi- nistracyjny był zmuszony wyjechać w spra- wach teatru w Polskę i nie mógł zaśpiewać tego wieczoru w „Miłości na Marsie” — straszliwej pewnie chacie, ale wówczas ka- łądy spektakl był przyjmowany przez publi- czność niemal na kłęczkach — wszedł w je- go rolę młodzieńki Hanuszkiewicz i śpiewał. Potem w rozmowie z panią powiedział, że

był to jedyny w jego życiu numer śpiewa- łości. Podobał się, zebrał brawa, byliśmy du- mni z niego.

Bo w ogóle byliśmy wówczas jedną rodzi- łą, nie było najmniejszego podziału na ze- snół aktorski i techniczny: wszyscy robili- my teatr. I jak zbliżała się premiera, wszy- scy gromadziliśmy się na podwórku przy ul. Tannenbauma do pamiątkowego zdjęcia.

Gdy przyjechała Siemaszkowa, wtedy w maju, grałam Klarę. Bawiłam się rolą, sta- nowiliśmy z Hanuszkiewiczem parę, on je- dnak grał na próbach, podczas gdy ja mar- kowałam i to dość dźwięcznie. Przy Sie- maszkowej po raz pierwszy zagrałam, trochę z duszą na ramieniu. Siedziała w krzesłach, oczy jej błyszczały, widać już wtedy wiedziała, że obejmie to całe gospo- darstwo. Po próbie podeszła do Stefy Do- mańskiej i patrząc w moją stronę rzekła:

— Ależ ona urocza, ta Klara!

Była to najpiękniejsza recenzja w moim życiu.

W parę godzin później, gdy było już po jej recitalu, za własne pieniądze nakupiłam kwiatów, ustawiłam młodzień w dwa szere- gi, po jednej stronie dziewczyny — po dru- giej chłopcy i wchodzili tak na scenę, ka- łąde z kwiatem, i kiadli ten kwiat pod jej stopy.

Gdy grała Matkę w „Balladynie”, w tym przedstawieniu, które szumnie otworzyło se- zon 1945/46, przyjechałam do Rzeszowa li- kwidować mieszkanie, bo losy rzuciły mnie już na Ziemię Odrzykaną; wieczorem po- szłam na spektakl. Robiła wielką sztukę na scenie pani Wanda! Zaczynała serię wiel- kich matek, ostatnie dwa lata życia.

Przed miesiacem ogłosiłam w „Widnokrę- gu” apel do tych, którzy pamiętają Siema- szkową. Ludzie dzwonili i pisali nie tylko z Rzeszowa. Stara nauczycielka z Tarnobrze- skiego napisała do mnie hymn pochwalny o „Balladynie”. Przejazdem bawiący w Rzeszo- wie pan zaproponował, że opowie, jak sta- tystował w tym przedstawieniu, lekarz z Warszawy, powiadomiony przez znajomych o apelu, zatelefonował do mnie, mówiąc, że czasem miewa sen, w którym zostaje mu powidek błyszczących oczu starej kobiety

Krystyna Świerczewska

# O TAMTEJ

i jej sekretych dni. Parę osób opowiadało z nerwem, co przeżywało na przedstawieniu „Balladyny”, gdy pytałam ich o nazwiska, prosiło o anonimowość.

— Bo to przecież nie o nas chodzi. Oczywiście.

Więc zadzwoniła pani, podając nazwisko tylko do mojej wiadomości, nazwana prze- ze mnie:

STARA DZIAŁACZKA LIGI KOBIET

— Proszę pani, obmyślałyśmy w Zarzą- dzie Ligi, co dać na prezent kobietom 8 Marca, w pierwsze ich święto. I to chyba Własia Pacześniakowa wpadła na pomysł, że- by je poprowadzić na „Balladynę”. Liga nie miała pieniędzy na bilety, więc obie uda- łyśmy się do Siemaszkowej po radę, co zrobić.

Przyjęła nas serdecznie, wysłuchiwała, po- medytowała i orzekła:

— Słuchajcie, zrobi się! W niedzielę rano, biorę to na siebie, zagramy za darmo do- datkowe przedstawienie. Zbierzcie parę gro- szy, żeby tylko zapłacić sprzątaaczkom, por- tierowi i bileterkom.

W najbliższą niedzielę zebrał się tłum przed teatrem, i to bynajmniej nie tłum kobiet, ale tłum rodzin. Poprzychodziły z mężami i dziećmi, dzieci odświętnie ubrane, wykokardowane. Tak, na oko było ich trzy razy tyle, ile planowałyśmy. Weszłam w ten tłum zmartwiała i zaczęłam prosić, by mę- żów i dzieci odesłały do domu, bo sala nie pomieści, bo przedstawienie gotowe w ogóle się nie odbyć.

Patrzyli wrogo na mnie: albo wszyscy wejdą — albo nikt!

Więc znowu poszłyśmy do Siemaszkowej, wyszła z nami, popatrzyła na tłum przed teatrem, oczy jej rozbiły.

— Jakoś damy radę — powiedziała i po-

tem zwróciła się do kobiet, żeby dzieci brać na kolana, a mężów sadzać wprost na po- dium w przejściach.

Ja widziałam, proszę pani, parę przed- stawień „Balladyny”, ale tego jednego ni- gdy nie zapomnę i proszę się nie dziwić, że dławii mnie w gardle.

Nikt już nigdy nie zobaczy sali teatru tak wypchanej po brzegi i nikt nigdy nie usły- sz małego sieroty — miał może sześć lat i zachodził do lokalu Ligi Kobiety, gdzie za- wsze dostawał bułkę i trochę ciepłej stawy — gdy siedział cichutko na rampie, wyma- chiwał cieniutkimi nóżkami z podniecenia i w finale, kiedy piorun niszczy Balladynę, zakrzyknął:

— A masz, a dobrze ci, to za twoją ma- mę!

Kobiet siedziały zafascynowane, dzieci wyciszone, wiele z nich płakało; potem Sie- maszkowa nie mogła zejść ze sceny, sala trzęsła się od braw...

Powiedziała do mnie wówczas:

— W życiu nie przypuszczałam, jaka mo- że być atmosfera w teatrze demokra- tycznym.

I potem otarła łzy.

Czy mogłam się nie podzielić z panią tym wspomnieniem? I czy dziwi się pani, że płaczę?

PAN N. N. — TECHNIK

— Czterdzieści lat teatru, proszę pani i ja przez czterdzieści lat jestem zawsze w teatrze! Dużo to lat — zgoda, ale mało przedstawień, które by się pamiętało, albo raczej — do których by się chciało wracać. Powiem pani szczerze, że mnie wówczas by- ło obojętne, czy to wielka Siemaszkowa gra, pamiętam jednak tamtą „Balladynę” jako najwspanialsze widowisko. Byłam w środku

„BALLADYNA” J. ZIEMI RZESZOWSKIEJ prem. 10.11.1954



168

**W** DNIACH od 19 do 27 maja 1945 roku odbyły się w Rzeszowie jakby pierwsze rzeszowskie spotkania teatralne: Ogłoszono bowiem te dni Tygodniem Teatru. Zainaugurował ów Tydzień „Koncert słowa, pieśni i muzyki”, który stał się ogromnym sukcesem Wandy Siemaszkowej. Miała wówczas 78 lat, przyjechała z Krakowa i mówiła między innymi norwidowski „Fortenian Szopena” na dziewięćkach Poloneza As-dur, granego przez Ninę Kwiatkowską, a potem popłynęła rzeka poezji romantycznej. Siemaszkowa była niezmordowana i zarazem niezrównana w jej wykonaniu. Lidia Graziadio śpiewała lirycznym sopranem polski repertuar i fragmenty muzyczne z operowych, a profesor szkoły muzycznej w Rzeszowie, Felician Andruchowicz, akompaniował na skrzypce.

20 maja o godzinie dziewiętej rano w kościele oo. Bernardynów odbyła się msza, połączona również z koncertem utworów religijnych w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Teatru Ziemi Rzeszowskiej (!), a wieczorem zagrano „Grube ryby” i operetkę w trzech aktach „Miłość na Marsie”.

W poniedziałek, 21 maja — komedię Nie-wiarowicza „Gdzie diabeł nie może”.

We wtorek, 22 maja — operetkę „Tylko ty”.

A w środę, 23 maja, odbyła się premiera głośnej „Zemsty”, gdzie Wacławem był Adam Hanuszkiewicz, Papkinem — Kazimiera Dejnek, Klara — Zofia Gorczyńska.

Reżyserowała tę „Zemstę” Stefania Gintel-Domańska i grano ją już do końca Tygodni Teatru, czyli do niedzieli, 24 maja.

Próba generalna „Zemsty” miała miejsce w dniu przyjazdu Siemaszkowej na „Koncert słowa”. Oglądała ją, oceniała aktorów, dawała rady; była po raz pierwszy w przyswójnym swoim teatrze, zaledwie dekada upłynęła od zakończenia wojny. Wspomina ten cz. wieloletnia aktorka Teatru im. W. Siemaszkowej:

ZOFIA GORCZYŃSKA  
— Kiedy przyjechalismy z mężem ze Lwowa, Rzeszów był jedyną enklawą wolno-

ści, otoczony wokół frontem, przeto napchało się tu ludzi z różnych stron Polski i ci-snota osaczała nas zewsząd. A Rzeszów o-byla wówczas praktycznie jedna ulica, ulica 3 Maja, potem jakieś małe domki, pola, ty-to i daleko, daleko zabudowania WSK...

Zagrałam w „Gdzie diabeł nie może”, m-dał po raz pierwszy. Dostaliśmy z mężem garsonierę na Narutowicza i to był luksus, bo aktorzy mieszkali kątem u ludzi na kya-terach, nikt nie miał mieszkania, ani żadnej rzeczy, która by jego była. W sklepach y-ta musztarda i zapalki. Po chleb chodziło się o trzeciej rano do kolejki. Nie było w-gła. Nie było światła. Teatr grywał częs-to pr. — świecach i były to piękne, niezapomniane przedstawienia, z ciasno wypełnioną widownią.

Wojewoda Tkaczów — nasz najbliższy przyjaciel — robił dla teatru wszystko, co mógł. Ponieważ wiedział, że najpierw nu-simy jeść, więc zorganizował nam stołówkę, gdzie trzy razy dziennie jadalismy pęczak, w najróżniejszej postaci, bo kucharka była mistrzynią w swoim zawodzie i też rola co mogła.

Nigdy w życiu już potem nie wzięłam p-czaku do ust.

Dyrektora Bogdana Proskurnickiego, kó-ry założył ten teatr, rozpięta energia — wymyślał rzeczy niemożliwe, docierał wszę-dzie, gromadził każde najdziwniejsze dobro dla teatru, bo wszystko mogło się przyd-ć. Przyrastał więc rekwizyt, czasem zarekri-rowany, najczęściej podarowany hojną ręką.

Kiedy spadała z nóg jedyna para butów, jaką miałam i trzeba było zanieść ją do szewca, szło się wtedy do rekwizytorni i na ten czas pożyczano buty teatralne.

A przecież byliśmy szczęśliwi, wolni, n-skr — dleni sztuką i gotowi na wszystko.

Gdy Antoni Graziadio — dyrektor admi-nistracyjny był zmuszony wyjechać w spa-wach teatru w Polskę i nie mógł zaśpiewać tego wieczoru w „Miłości na Marsie” — straszliwej pewnie chacie, ale wówczas la-ędzy spektakl był przyjmowany przez publi-czność niemal na kłęczkach — wszedł w je-go rolę młodzieńki Hanuszkiewicz i śpiewał. Potem w rozmowie z panią powiedział, że

był to jedyny w jego życiu numer śpiewa-ł... Podobał się, zebrał brawa, byliśmy du-mni z niego.

Bo w ogóle byliśmy wówczas jedną rodzi-ną, nie było najmniejszego podziału na ze-sność aktorski i techniczny: wszyscy robili-smy teatr. I jak zbliżała się premiera, wszy-scy gromadziliśmy się na podwórku przy ul. Tannenbauma do pamiątkowego zdjęcia.

Gdy przyjechała Siemaszkowa, wtedy w maju, grałam Klarę. Bawiliam się rolą, sta-nowiliśmy z Hanuszkiewiczem parę, on je-dnak grał na próbach, podczas gdy ja mar-kowałam i to dość dremnianie. Przy Sie-maszkowej po raz pierwszy zagrałam, trochę z duszą na ramieniu. Siedziała w krzesłach, oczy jej błyszczały, widać już wtedy wiedziała, że obejmie to całe gospo-darstwo. Po próbie podeszła do Stefy Do-mańskiej i patrząc w moją stronę rzekła:

— Ależ ona urocza, ta Klara!

Była to najpiękniejsza recenzja w moim życiu.

W parę godzin później, gdy było już po jej recitalu, za własne pieniądze nakupiłam kwiatów, ustawiłam młodzież w dwa szere-gi, po jednej stronie dziewczyny — po dru-giej chłopcy i wchodzili tak na scenę, ka-żde z kwiatem, i kładli ten kwiat pod jej stopy.

Gdy grała Matkę w „Balladynie”, w tym przedstawieniu, które szumnie otworzyło se-zon 1945/46, przyjechałam do Rzeszowa li-kwidować mieszkanie, bo losy rzuciły mnie już na Ziemię Odrzykane; wieczorem po-ziłam na spektakl. Robiła wielką sztukę na scenie pani Wanda! Zaczynała serię wiel-kich matek, ostatnie dwa lata życia.

Przed miesiącem ogłosiłam w „Widnokrę-gu” apel do tych, którzy pamiętają Siema-szkową. Ludzie dzwonili i pisali nie tylko z Rzeszowa. Stara nauczycielka z Tarnobrze-skiego napisała do mnie hymn pochwalny o „Balladynie”. Przejazdem bawiący w Rzeszo-wie pán proponował, że opowie, jak sta-tystował w tym przedstawieniu, lekarz z Warszawy, powiadomiony przez znajomych o apelu, satelefonował do mnie, mówiąc, że czasem miewa sen, w którym zostaje mu p-widek bliznoszących oczu starej kobiety

Krystyna Świerczewska

# O TAMTEJ

i jej sekretach. Parę osób opowiadało z nerwem, co przeżywało na przedstawieniu „Balladyny”, gdy pytałam ich o nazwiska, prosiło o anonimowość.

— Bo to przecież nie o nas chodzi. Oczywiście.

Więc zadzwoniła pani, podając nazwisko tylko do mojej wiadomości, nazwana prze-ze mnie:

STARA DZIAŁACZKA LIGI KOBIET

— Proszę pani, obmyślałyśmy w Zarzą-dzie Ligi, co dać na prezent kobietom 8 Marca, w pierwsze ich święto. I to chyba Wisia Pacześniakowa wpadła na pomysł, że-by je poprowadzić na „Balladynę”. Liga nie miała pieniędzy na bilety, więc obie uda-łyśmy się do Siemaszkowej po radę, co zrobić.

Przyjęła nas serdecznie, wysłuchała, po-medytowała i orzekła:

— Słuchajcie, zrobi się! W niedzielę rano, biorę to na siebie, zagramy za darmo do-datkowe przedstawienie. Zbierzcie parę gro-szy, żeby tylko zapłacić sprzątaczkom, por-tierowi i bileterkom.

W najbliższą niedzielę zebrał się tłum przed teatrem, i to bynajmniej nie tłum kobiet, ale tłum rodzin. Poprzychodzili z mężami i dziećmi, dzieci odświętnie ubrane, wykokardowane. Tak, na oko było ich trzy razy tyle, ile planowałyśmy. Weszłam w ten tłum zmartwiała i zaczęłam prosić, by mę-zów i dzieci odesłały do domu, bo sala nie pomieści, bo przedstawienie gotowe w ogóle się nie odbyć.

Patrzyły wrogo na mnie: albo wszyscy wejdą — albo nikt!

Więc znowu poszłyśmy do Siemaszkowej, wyszła z nami, popatrzyła na tłum przed teatrem, oczy jej rozbiły.

— Jakoś damy radę — powiedziała i po-

tem zwróciła się do kobiet, żeby dzieci brać na kolana, a mężów sadzać wprost na po-dłodze w przejściach.

Ja widziałam, proszę pani, parę przed-stawień „Balladyny”, ale tego jednego ni-gdy nie zapomnę i proszę się nie dziwić, że dławii mnie w gardle.

Nikt już nigdy nie zobaczy sali teatru tak wypchanej po brzegi i nikt nigdy nie usły-sz małego sieroty — miał może sześć lat i zachodził do lokalu Ligi Kobiet, gdzie za-wsze dostawał bułkę i trochę ciepłej stawy — gdy siedział cichutko na rampie, wyma-chiwał cieniutkimi nóżkami z podniecenia i w finale, kiedy piorun niszczy Balladynę, zakrzyknął:

— A masz, a dobrze ci, to za twoją ma-mę!

Kobiet siedziały zafascynowane, dzieci wyciszone, wiele z nich płakało; potem Sie-maszkowa nie mogła zejść ze sceny, sala trzęsła się od braw...

Powiedziała do mnie wówczas:

— W życiu nie przypuszczałam, jaka mo-że być atmosfera w teatrze demokra-tycznym.

I potem otarła łzy.

Czy mogłam się nie podzielić z panią tym wspomnieniem? I czy dziwi się pani, że płaczę?

PAN N. N. — TECHNIK

— Czterdzieści lat teatru, proszę pani i ja przez czterdzieści lat jestem zawsze w teatrze! Dużo to lat — zgoda, ale mało przedstawień, które by się pamiętało, albo raczej — do których by się chciało wracać. Powiem pani szczerze, że mnie wówczas by-ło obojętne, czy to wielka Siemaszkowa gra, pamiętam jednak tamtą „Balladynę” jako najwspanialsze widowisko. Byłam w środku

„BALLADYNA”  
T. ZIEMI RZESZOWSKIEJ  
prem. 10.11.1954.



# „BALLADYNIE”

tęgo lasu, zjaw, siedem obok zjawy Aliny z dzbanem na głowie, we mnie trafiał piorun, mną wstrząsał sąd nad podłością człowieka!

Ale to wszystko, co było czterdzieści lat na „Balladynie”, jest dziś pretekstem tylko do pytania, dlaczego ten ostatni okres jest tak smutny dla teatru? Dlaczego kończy się wrzesień i teatr nie gra? Kto jest za to odpowiedzialny?

Wspominam Neonilę Kilar — Balladynę, Lidie Graziadio — Alinę, potem Zelwerowicza, Morycińskiego i Kozienia. Co robi Kozień, ten wspaniały Zbyszko z „Dulskiej”, Bezuchow z „Wojny i pokoju”? Czemu nie gra emigranta, czemu go nie oglądam?

Może to czterdziestolecie otworzy wiadomocy, że jest co wspominać z dawnych lat, gdy mówi się o teatrze i nie ma na co patrzeć dziś, kiedy ten teatr ma swoje święto.

I jeszcze, proszę pani, niech pani koniecznie zaapeluje do ludzi teatru, żeby zmienili ten portret Siemaszkowej z „Wesela”, który u nich wisiał! Ja chcę swoim wnukom pokazać tę Siemaszkową, która kiedyś była u nas, jej portret starej, wspaniałej kobiety z ostatnich lat życia, z czasu, gdy grała wielkie matki, z tą ostatnią włącznie ze „Świętego piomienia”. Wisiał taki portret Siemaszkowej przed laty; potem go zdjęto i zastąpiono tym powszechnie znanym, pedzla Wyspiańskiego, niczego przecież nie mówiacym o jej związkach z Rzeszowem.

JERZY KAMIŃSKI — LEKARZ

Miałem wtedy pewnie szesnaście lat, gdy profesor Szewera, nader znany wówczas rzeszowski polonista, dał mi bardzo dobry z wypracowania ze spektaklu „Balladyny”: to było wydarzenie dostać piatkę u surowego profesora Szewery! Musiałem to wszystko

napisać z wielkim przejęciem, bo ten wstrząsła mną ta Matka Siemaszkowej, rozczochrana, bolejąca, idąca na oślep wśród drzew na scenę sądu.

Nie pamiętam już, kto grał Balladynę — pamiętam jedynie płaszcz z trenem, który nosiła i którym pretensjonalnie co i raz zamiatła scenę.

I pamiętam scenografię, dużo zieleniny, las jak żywy; grało się wówczas po bożemu, jak las — to naturalistyczne drzewo, jak plama na czole z malin — to jaskrawo czerwona, jak grzmot — to mury drzeć musiały.

Kiedy się pomyśli, że Siemaszkowa dobiegała wówczas osiemdziesiątki i kiedy człowiek oglądał potem Solskiego w „Grubych rybach”, i cały czas trząsał się, żeby ten staruch skostniały nie wpadł do orkestronu — to należy chylić czoło przed wielką sprawnością starej kobiety, która tak cudownie znosiła kondycyjnie ogrom wysiłku aktorskiego co wieczór i przez czterdzieści lat nie dała zapomnieć tym, którzy ją wówczas widzieli, tego konsztu!

JERZY TRZEŚNIEWSKI — TECHNIK

Mieliśmy wtedy z kolegą Żółkiewiczem po jedenaście lat, gdy ojciec jego, portier teatru, wpuszczał nas w tajemnicę do zapadni i stawialiśmy stołki na stole, by podglądać Siemaszkową.

Stałem twarzą w twarz z nią prawie co wieczór, umiałem „Balladynę” nieomal na pamięć.

Po każdym przedstawieniu wynurzałem się z tej zapadni, przybity atmosferą zła; Żółkiewicz zwyczajnie bał się. Ale to było jak narkotyki: na drugi wieczór znowu włączaliśmy się w ciemny wąwóz i znowu wpatrywaliśmy w oszalałe oczy Siemaszkowej. Z bliska. Gdy podnosiła ręce, wołając niebo

o pomstę, widziałem nabrzmiałe sznury żył. Gdy trzęsła się głową w skargach — wiośsy jej rozkudlane, jak węże, żyły własnym życiem.

I wszystko to działo się w scenerii lasu jak żywego, wśród błyskawic i piorunów. I nic to, że widzieliśmy jak za kulisami technicy gięli blachy, których dźwięk pogłębiał się niesamowicie w kanale dla orkiestry, gdzie siedzieliśmy — dla nas to była pełna groza! I tak pozostało do dziś. Czy to właśnie nazywa się magią teatru?

IWONA K. — BIOLOG

— Proszę pani, miałam sześć lat, gdy potężny grzmot przemknął i Balladyna padła! To był dla mnie pierwszy wieczór w teatrze i do dziś go pamiętam, jako szalone przeżycie. Nigdy już potem nie widziałam takiej grozy, jak owa w scenie sądu i takiego bólu, oszalałej starej kobiety, jak zademonstrowała Siemaszkowa.

Porównuję to przeżycie z nieco wcześniejszym, kiedy zobaczyłam po przejściu frontu ławicę martwych, rozstrzelanych ryb, jak płynęły wzdłuż w Wisłoku!

Gdy przyrównam tamten teatr wielkiej gwiazdy, późniejsze przedstawienia, gdzie grali wielcy aktorzy, jak choćby Zelwerowicz z dzisiejszym teatrem — jestem po prostu zgnębiona tą dzisiejszą nijakością teatru...

LIDIA GRAZADIO — ALINA Z 1945 ROKU

— Trzeba by zacząć od tego, jak zostałam aktorką.

Otóż, przechodziłam przez malarnię na próbę Orkiestry Symfonicznej Teatru Ziemi Rzeszowskiej, gdy Bogdan Proskurnicki krzyknął:

— Lidus, poczytaj nam za Dulską, bo nie można zrobić próby. Mamy już całą obsadę, tylko Dulskiej brak. Potem się znalazła. Więc bądź człowiekiem i pomóż...

Byłam człowiekiem, usiadłam. I ja, śpiewaczka, która nie skończyła jeszcze nawet trzydziestki, zaczęłam wyglądać ze starą koltunką.

Po próbie, Bogdan powiedział:

— No, to już nie trzeba szukać, mamy Dulską!

Ani wiedział, że wszczepia mi bakcyla tea-

tru już na całe życie.

Potem przyjechała Wanda Siemaszkowa i planowała obsadę do „Balladyny”.

— Jesteś za pulchna — orzekła kategorycznie.

A potem nie miała wyboru, bo Aliny żadnej nie było. Kazała znowu poczytać w zastępstwie. Poczytałam.

— Będiesz wspaniałą Aliną — zmieniła zdanie i widziałam autentyczny entuzjizm w tej konstatacji.

Więc byłam.

Pan Stefan Nowakowski, recenzent przedstawienia napisał w Dzienniku Rzeszowskim „Wspaniała inauguracja Teatru Ziemi Rzeszowskiej 1945/46”:

„Lidia Graziadio zagrała Alinę w sposób przyjemny i przekonujący, stworzyła doskonały kontrast dobroci na tle Balladyny. Jej subtelny głos odbijał od twardych dramatycznych słów Balladyny”.

Siemaszkowa trzymała nas twardo, walcząc o rygorystyczne dyscypliny. Do dziś wspomina się tę hecę z Bolkim Smelą, w czasie której tak się zaperzyła, że wypadła jej szczeka. Chciał ją Bolek usłużyć podnieść. — Ani się ważył — wrzasnęła. I staliśmy jak zamurowani, a ów przedmiot wstydlawy leżał pomiędzy nami i zaświadczał nie tyle o starości, co o niespożytej energii jego właścicielki.

A potem w owe wakacje ostatnie, gdy wyjechała do córki do Żarnowca, a teatr własnym autobusem pojechał na wakacyjne tournée do Jeleniej Góry, żeby zarobić na chleb dla aktorów i przyszła ta wiadomość, że zmarła, wysłano depeszę do Jeleniej Góry.

„Zmarła dyrektorowa”.

Mnie też nazywano dyrektorową — Antoni Graziadio, mój mąż, był przy Siemaszkowej dyrektorem administracyjnym.

W przerażeniu, porwał autokar, aktorem za kasę z tego wieczoru kazał kupić bilety na pociąg i dopiero po spektaklu wracać, a sam pomknął do Rzeszowa, zrozpaczony, rwąc włosy z głowy i zakupując w Krakowie po drodze wieńce od męża i zespołu.

Potem znajomi mówili: będziesz długo żyła Lidka, bo tak trzeba tłumaczyć tę pomyłkę...

Odeszłam z tego teatru wraz z nią. Ona na stałe; ja na losów popłatanie, najpierw do operetki łódzkiej, potem do teatru kaliskiego, wreszcie na emeryturę do Rzeszowa, gdzie jak ptak w podniebnej klatce zamknęty, nie schodzę już wcale z tego piątego pietra, w wieżowcu bez windy.

Czasem sobie śpiewam, gdy nie dokucza astma, jak dobrze zapowiadająca się uczennica profesor Oleskiej i zastanawiam się, czy dobrze pokierowałam życiem.

Gdy jednak wspominałam pierwsze lata w Rzeszowie, kiedy organizowało się sztuce z niczego, powoływało do życia szkołę muzyczną, dawało koncerty za symboliczny grosz, w teatrze zarabiał 600 złotych — to przecież muszę wspomnieć ten okres jako najpiękniejszy okres burzy i naporu nas młodych na tworzące się dopiero miasto wojewódzkie.

Ludzie dzwonią ze wspomnieniami, pisało do mnie do dziś.

Jak meteor błysnęła w Rzeszowie Wanda Siemaszkowa, umierając na posterunku, nie doczekawszy pełnego jubileuszu 60-lecia pracy scenicznej. Nie było to dla niej lata łatwe i nie było to najświetniejsze gospodarstwo; współczuł jej nawet Solski i przepowiadał, że będzie trudno.

Recenzent „Dziennika Rzeszowskiego”, Stefan Nowakowski pisał, że wystawienie „Balladyny” kosztowało 115 tys. złotych. Legenda i sztuka Jerzego Pleśniarowicza „Panna Młoda” z „Wesela” mówią, że kiedy nie starczyło pieniędzy na kostiumy, pióropusze i szyszaki oraz na ten „jak żywy” las — Siemaszkowa odpięła broszkę złotą, rzuciła na stół i reszta zespołu też zaczęła składać na tę kupkę skromne precjoza, ocalone z wojny.

Tak rodziło się to pierwsze jej przedstawienie w Rzeszowie i tak je zapamiętali ludzie, którzy byli albo w ogóle pierwszy raz w teatrze, albo byli z nią razem na rzeszowskiej scenie.

Po czterdziestu latach każde wspomnienie jest ołożone przez czas, ale też każde staje się dokumentem na wagę pamięci.

Niektóre z nich więc tu zanotowałam, za inne, które już tylko zatrzymam dla siebie, gorąco dziękuję moim interlokutorom.